



Czy można
przebaczyć zbrodnie
sprzed lat?

ANNE METTE
HANCOCK

PITBUL



ANNE METTE
HANCOCK

PITBUL

Mroki
Kopenhagi

Z JĘZYKA DUŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Edyta Stępkowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Pitbull

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Katarzyna Kusojć

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce: © AR Pictures, © Cookie Studio / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Pitbull

Copyright © 2020 Anne Mette Hancock

First published by Lindhardt & Ringhof, Denmark,

Published by arrangement with Nordin Agency ApS,

Denmark and Book/Lab Literary Agency, Poland

Copyright © 2021 for the Polish edition by Mova

an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Edyta Stępkowska, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-67014-39-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/wydawnictwo.mova



www.wydawnictwokobiectwo.pl

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiectwo.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiectwo.pl



NIEDZIELA, 14 LIPCA

Prolog

To twoja pierwsza ekshumacja? – Starszy aspirant Erik Schäfer wsunął kinga bez filtra między wargi i spojrzął na dźwig.

Podnośnik chrzązczał i skrzypiał, gdy czerwone od rdzy monstrum z mozołem wyszarpywało oblepioną gliną trumnę z dołu przed nimi.

Heloise Kaldan ręką odgoniła muchę sprzed twarzy i potwierdziła skinieniem.

– To uprzedzam, że to nie jest dla dzieci.

– Ale chyba i tak niewiele zostało w środku, prawda? – powiedziała i przeniosła wzrok na kamień nagrobny z poczer-niałego marmuru, który pracownicy zakładu pogrzebowego zdjęli, zanim zaczęli kopać. Leżał teraz napisem do dołu na żółtej, spalonej słońcem trawie.

Schäfer wykonał głową ruch oznaczający zarówno „tak”, jak i „nie”.

– To zależy – odparł. – Zwłoki zamknięte w trumnach by-wają zaskakująco dobrze zachowane.

Heloise wyglądała na nieprzekonaną.

– Nawet po tylu latach?

Dłonią wielkości rękawicy bejsbolowej zastonił płomień zapalniczki i przypalił papierosa.

– Zwłoki pozostawione na świeżym powietrzu szybko się rozkładają. – Gdy mówił, kłęby dymu buchały mu z ust i nosa. – Raz-dwa zostają z nich same kości. To dosłownie kwestia miesięcy, a nawet tygodni przy takiej pogodzie, jaką teraz mamy.

Schäfer przesunął wzrokiem po Zatoce Flensburskiej. Promienie słońca ślizgały się po wodzie i wszędzie bieleły się żagle.

Ponownie spojrzął na dźwig.

– Za to w trumnie można przetrwać w dobrym stanie nawet wiele lat. To, co tam jest, raczej ładne nie będzie, ale całkiem możliwe, że nadal przypomina człowieka. – Brodą wskazał na trumnę, która właśnie w tej chwili została wyciągnięta z dziury.

W słonym morskim powietrzu zmieszonym z zapachem węgla drzewnego, przywiewanym z pola namiotowego przy plaży, natychmiast pojawiła się nuta zgnilizny tak silna, że Heloise musiała zrobić krok w tył.

– I co teraz? – spytała.

– Przewieziemy trumnę do Zakładu Medycyny Sądowej i oni sobie zajrzą do środka.

Trumna uderzyła głucho w metalowe nosze stojące przed otwartą chłodnią samochodu.

– Wieziemy go do Aabenraa czy Sønderborga? – zapytał umundurowany funkcjonariusz, który stał obok kierowcy.

– Nie, nie. – Schäfer pomachał im palcem. – Na Wyspę Diabła*, panowie.

* Obszar w Kopenhadze utworzony na sztucznie usypanym terenie, gdzie od około 1904 roku zamieszkiwali bezdomni i wykluczeni. W 1948 roku miejsce przejęli rybacy i Wyspa Diabła została zlikwidowana (przyp. tłum.).

Podszedł do nich i Heloise słyszała, jak im tłumaczył, dokąd w Kopenhadze mają przewieźć trumnę. Z tylnej kieszeni spodni wyjął nakaz sądowy i pokazał policjantowi.

Heloise poczuła wibrowanie telefonu. Byli tak blisko granicy, że odbierała niemiecką sieć, a na wyświetlaczu nie pojawił się żaden numer.

– Halo?

– Dzień dobry. Czy rozmawiam z Heloise Kaldan? – spytał niemal szeptem męski głos.

– Tak, to ja.

– Nazywam się Markus Senger, jestem wolontariuszem Czerwonego Krzyża. Dzwonię w sprawie Jana Fischhofa.

Serce jej się ścisnęło i mimowolnie pochyliła głowę.

– Umarł? – zapytała i przesunęła dłonią po karku.

– Nie, ale nie zostało mu wiele czasu. Bardzo cierpi, cały czas na przemian traci i odzyskuje świadomość, dlatego... sądzimy, że to kwestia godzin.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam z inną wolontariuszką i wtedy wydawał się w miarę stabilny.

– Bo tak było. Ale w nocy bardzo mu się pogorszyło. Wielokrotnie pytał o panią. Dlatego dzwonię.

Heloise pokiwała głową i spojrzała na niemieckie wybrzeże po drugiej stronie zatoki.

– Jestem teraz poza miastem, ale... – Popatrzyła na zegarek. Do następnego lotu zostało trochę ponad dwie godziny. – Mogę być w Kopenhadze późnym popołudniem.

– Świetnie. Bardzo pani dziękuję. Będziemy trzymać kciuki, aby pani zdążyła.

– A teraz jest z nim ktoś?

– Tak. Wysłaliśmy do niego wolontariusza, ale Jan sobie nie życzy, żeby ktokolwiek wchodził do sypialni. Chce się widzieć tylko z panią.

– Rozumiem. – Heloise znów pokiwała głową. – Proszę mu przekazać, że już jadę.

– Dziękuję, przekazę.

– I jeszcze jedno... Markus, tak?

– Tak.

– Proszę mu powiedzieć... – Popatrzyła w bezchmurną nicłość nad swoją głową, szukając właściwych słów. – Proszę mu powiedzieć, żeby się nie bał... i... – Przełknęła dwukrotnie. – I żeby na mnie zaczekał.

Rozłączyła się i napotkała wzrok Schäfera. Okazało się, że cały czas stał obok i obserwował ją z uniesionymi brwiami.

– Fischhof? – spytał.

Potwierdziła skinieniem i schowała telefon.

– Muszę wracać. Sądzą, że dziś umrze.

Starszy aspirant zaciągnął się mocno i uważnie jej się przyjrzał.

– Okej. – Pokiwał głową i odkleił strzępek tytoniu z dolnej wargi. – Tylko proszę cię, postaraj się przesadnie w to nie angażować.

– O co ci chodzi?

– O to, że to nie jest twoja rodzina, Heloise. Ten człowiek nie jest twoim ojcem, więc... Proszę cię tylko, żebyś zachowała perspektywę, nic więcej.

Heloise przytrzymała jego wzrok na kilka sekund.

– On jest umierający. Potrafisz to zrozumieć? Umiera i jest całkiem sam.

Schäfer pokiwał głową.

– Owszem, rozumiem to doskonale. Ale codziennie ktoś umiera. Nie możesz ich wszystkich trzymać za rękę.

Pokręciła głową. Była zbyt zmęczona, żeby się nakręcać.

– Nie zamierzam trzymać ich wszystkich za rękę. Mówię o jednym człowieku. Jednym, dla którego mogę coś zrobić. Teraz. Dziś! O to przecież chodzi w tym całym wolontariacie, prawda?

– Prawda. I to naprawdę bardzo szlachetne – przyznał i ponownie kiwnął głową. – Ale to wymaga odpowiedniej konstrukcji psychicznej.

– Tak, to oczywiste. Nie rozumiem, do czego pijesz.

Schäfer nieznacznie wzruszył ramionami.

– Wydajesz się niesłychanie poruszona tą całą sytuacją.

Heloise przeniosła wzrok z sińca pod okiem Schäfera na trumnę i z powrotem na niego.

– To chyba oczywiste, że jestem poruszona – powiedziała obronnym tonem. – Może nie zauważyłeś, ale ostatnie dni były dość intensywne. A teraz Fischhof umiera, a ja mu obiecałam, że przy nim będę. Obiecałam, że mu pomogę uwolnić się od tego ciężaru. – Wskazała na trumnę.

– Heloise, dajże spokój... – Schäfer pokręcił głową z politowaniem. – Nie jesteś przecież taka głupia, żeby...

– Wracam! – Odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu. – Obiecałam.

Rzucił papierosa na ziemię i go przydeptał.

– I bardzo źle zrobiłaś – mruknął.



ŚRODA, 10 LIPCA

Cztery dni wcześniej

1

Heloise otworzyła drzwi kluczem systemowym, który otrzymała w siedzibie Czerwonego Krzyża, i weszła do ciemnego przedpokoju. Od ich pierwszego spotkania przed trzema miesiącami coraz częściej zaglądała do małego domu z muru pruskiego w Dragør. W tym tygodniu była tu po raz trzeci.

Powiesiła torbę na haku i weszła do kuchni, aby oznajmić o swoim przybyciu drugiej wolontariuszce, która, jak słyszała, właśnie się tam krzątała.

– Cześć, Ruth – powiedziała do odwróconej plecami niskiej, korpulentnej kobiety, która akurat wycierała stół. Wykonywała ostentacyjne ruchy i nie spojrzała na Heloise. Głowę miała cały czas pochyloną, jakby pracowała w wielkim skupieniu. Była ostrzyżona krótko i po męsku. Między fałdami na jej karku widać było białe nieopalone paski.

Heloise zerknęła w głąb korytarza w stronę sypialni, której drzwi były uchylone.

– Śpi?

– Nie, chyba nie – odpowiedziała Ruth. – Zawiozłam go do ogrodu, żeby zaczerpnął trochę świeżego powietrza. –

Mocno wycisnęła szmatkę i powiesiła ją na kranie. – Tu jest tak ciemno i ponuro, a on cały dzień siedział jak struty, więc pomyślałam, że to mu dobrze zrobi. Chociaż on oczywiście nie lubi wychodzić, stary maruda. Rzucił się, jakby jechał na amputację nogi.

Heloise się uśmiechnęła. Doskonale umiała sobie wyobrazić, jaką scenę mógł urządzić Jan Fischhof z powodu czegoś tak niewinnego jak odrobina słońca.

Zauważyła, że na stole stał talerz z nietkniętym kawałkiem pieczeni rzymskiej i dwoma przysmażonymi ziemniakami, które przywieźli z opieki.

– Dziś też nic nie zjadł?

– Ani kęsa. – Ruth wytarła ręce w fartuch. – Już mu zapowiedziałam, że nie dostanie piwa, jeśli nie zje choć trochę. Ale nic się nie da w niego wmusić.

– No, ale ostatecznie chyba dostał to swoje piwo, co nie?

– A zjadł ten swój obiad? – Ruth z pozbawioną wyrazu twarzą nakryła talerz folią.

– Oj tam, Ruth, nie bądź taka. – Heloise przechyliła głowę na bok. – Skoro staruszek życzy sobie, żeby ostatni posiłek przyjąć w płynie, to chyba powinnyśmy mu na to pozwolić.

Kobieta mocno zacisnęła wargi.

– Bo co? Bo taki sobie wymyśliłaś tytuł do artykułu? Że umarł z przepicia?

Słowa zabrzmiały nieadekwatnie ostro i Heloise odniosła wrażenie, że tylko czekały, aby wydostać się na zewnątrz. Uniosła brwi i uśmiechnęła się zaskoczona.

– Ruth, czy tobie przeszkadza, że tu jestem?

– Owszem, przeszkadza mi. – Odwróciła się i popatrzyła na Heloise, unosząc brodę i biorąc się pod boki. Na jej grubej szyi

pojawiły się czerwone plamy. – Stary schorowany człowiek, który stoi nad grobem, nie powinien być materiałem do dostarczania ludziom rozrywki w gazetach. To, co tu robimy, to nie jest zabawa.

– Tak, cholernie dobrze zdaję sobie z tego sprawę.

– Ten wolontariat ma na celu otaczanie ludzi troską i towarzyszenie im w ostatnim trudnym czasie. Słuchamy, pocieszamy i robimy, co w naszej mocy, aby ulżyć im w tym ogromnym cierpieniu, jakim jest żegnanie się z życiem.

– Wiem i właśnie po to tu jestem. – Heloise potrząsnęła głową w konsternacji. – Nie wydaje ci się, że Jan lubi, gdy do niego przychodzę?

Ruth nie odpowiedziała od razu.

– Moim zdaniem zamiast mu pomagać, tylko przedłużasz jego cierpienie.

Heloise zmarszczyła brwi.

– Co ty wygadujesz? – spytała.

Ale tak naprawdę Ruth nie musiała mówić nic więcej. Heloise i tak знаła odpowiedź. Kiedy zaczęła odwiedzać Jana Fischhofa, lekarze z Czerwonego Krzyża powiedzieli, że staruszek nie dożyje końca tygodnia. A to było prawie trzy miesiące temu. Teraz uważali, że to wizyty Heloise wszystko zmieniły. Że Fischhof zaczął mieć po co żyć, a to zobowiązywało w sposób, jakiego Heloise dotąd nie doświadczyła. Czuła się, jakby życie tego człowieka było w jej rękach, chociaż wiedziała, że to bzdura. Że on umrze bez względu na wszystko. Ale za nic nie chciała go zawieść.

– Heloise, on bardzo cierpi. Przez połowę czasu nie ma pojęcia, kim jest i na jakiej planecie się znajduje. – Ruth nawiązała do początków demencji Fischhofa. – Jego mózg zamienia się w papkę, a ciało... Zresztą sama widzisz, jak on wygląda! – Rozłożyła ręce. – Dlaczego wciąż tu przychodzisz?

Dla jakiegoś artykułu do gazety? – Ostatnie zdanie niemal wypłuła. – Zostaw go w spokoju, proszę cię. Daj mu wreszcie spokojnie odejść!

Heloise położyła dłonie na ramionach Ruth. Stały teraz dokładnie na wprost siebie.

– Posłuchaj. Rozumiem twoje obawy. Ale chcę, żebyś wiedziała, że chociaż z początku traktowałam to jak pracę, to z czasem te wizyty przerodziły się w coś innego. Nie przychodzę tu już tylko jako dziennikarka. Przychodzę, bo chcę tutaj być, bo chcę być przy nim. Bo Jan i ja... przywiązaliśmy się do siebie. Rozumiesz?

Kobieta milczała i tylko patrzyła na Heloise sceptycznie.

– Tu już nie chodzi o moją pracę – powtórzyła Heloise.

Ruth niechętnie pokiwała głową.

– Czyli nie będziesz o nim pisać?

Heloise na moment przygryzła wargę, szukając odpowiednich słów.

– Na pewno nie teraz i nie tak, jak to sobie wyobrażasz. To ci mogę obiecać.

Kobieta przyjęła to wyjaśnienie, o czym świadczyło lekkie drganie w kącikach jej ust. Wilgotną ręką poklepała Heloise po policzku na zgodę. Potem włożyła talerz z obiadem do lodówki i jednym ruchem zdjęła fartuch.

– No dobrze... To w takim razie skoro chcesz z nim trochę posiedzieć, ja chyba już pójdę.

– Jasne, leć – potwierdziła Heloise. – Obiecuję dobrze się nim zająć.

Ruth wyszła z kuchni, a gdy Heloise usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych, ruszyła w stronę salonu i otwartych drzwi na taras i do ogrodu. Jan Fischhof siedział na wózku pod dużym

parasolem słonecznym w limonkowym kolorze. Jaskrawozielona tkanina odbijała się na jego twarzy, nadając jego karnacji odień jeszcze bardziej chorobliwy niż normalnie. Miał łysą głowę, a jego zęby wydawały się nienaturalnie duże na kościstej twarzy ciasno obciągniętej skórą. Zapadniętym oczom brakowało rzęs i brwi. Miał dopiero siedemdziesiąt siedem lat, ale rak płuc w krótkim czasie nadał mu wygląd dziewięćdziesięcioletniego starca. Obok wózka stał aparat tlenowy. Mężczyzna siedział z zamkniętymi oczami i bezwładnie otwartymi ustami, a duże dłonie leżały na jego kolanach odwrócone wnętrzem do góry.

Heloise pomyślała, że wygląda, jakby już nie żył.

– Jan! – zawołała.

Nieznacznie unióś powieki i przesunął po niej rozkojarzonym wzrokiem.

– Czyli nie śpisz. – Uśmiechnęła się.

Znowu zamknął powieki.

Podeszła do niego, dłonią osłaniając oczy przed słońcem. Od trzech tygodni panował potworny skwar. Plaże wschodniego wybrzeża zaczęły cuchnąć gnijącymi algami, pola wysychały na pieprz, a czarnowidze zgodnie z tradycją wieszczyli rychły koniec świata.

Jan Fischhof również źle znosił wysokie temperatury. Jego żyły pęczniały pod cienką jak papier skórą, a koszula na piersi była mokra od potu. W miarę zbliżania się do niego Heloise coraz wyraźniej słyszała jego świszczący, wymęczony oddech.

– Wyglądasz, jakbyś się zgrzał – powiedziała, kiedy przy nim kucnęła. Położyła dłoń na jego nodze i ścisnęła ją lekko. – Przynieść ci coś do picia?

Znowu podniósł powieki i tym razem popatrzył na nią bardziej uważnie. Powoli pokiwał głową.

– Tak, dziękuję. Przydałby się zimny pilzner.

Heloise się uśmiechnęła.

– Zaraz wracam.

Wstała i wróciła do domu przez taras. Wewnątrz małego budynku panował półmrok i było tam chłodno. Omiotła wzrokiem stojące w salonie meble. Pokój wyglądał, jakby został urządzony przez kobietę. Na kwiecistej kanapie leżały haftowane poduszki, a zakurzone półki regału były zastawione kryształowymi wazonami oraz porcelanowymi figurkami niedźwiedzi polarnych i małych dziewczynek z rękami złożonymi do modlitwy. Na biurku pod ścianą stał wazon Alvara Aalto z bukietem wrzosów. Kwiatki dawno straciły kolor i Heloise pomyślała, że być może umieściła je tam przed wieloma laty zmarła żona Jana, Alice. I że to dlatego nie chciał się z nimi rozstawać.

Obok wazonu z kwiatkami stało w szeregu mnóstwo zdjęć w ramach. Niektóre, te najstarsze, były w sepia. Inne pochodziły z czasów bardziej współczesnych. Heloise zatrzymała wzrok na jednym z nich. Przedstawiało żonę i córkę Jana i wyglądało na zrobione w atelier jakiegoś fotografa gdzieś na prowincji. Dziewczyna, której imię wyleciało jej z głowy, miała na sobie zamszową brązową kurtkę i marmurkowe dzinsy, a okulary w rogowych oprawkach zasłaniały jej połowę twarzy. Alice stała obok niej w jaskrawozielonej bluzie z wielkim logo Marc O'Polo i potężnymi poduszkami na ramionach, a na głowie miała trwałą. Heloise uśmiechnęła się na widok stylizacji obu kobiet i weszła do kuchni.

Otworzyła lodówkę, w której całą środkową półkę zajmowały leki w opakowaniach najróżniejszych kształtów i kolorów. Preparaty, które wspólnymi siłami miały odsunąć w czasie to, co nieuchronne – na kilka dni, godzin, może minut. Jan trzy tygodnie temu przestał przyjmować lekarstwa. Wszyst-

kie te przedłużające życie zabiegi były bowiem obarczone całą masą działań ubocznych na tyle uciążliwych, że postanowił je odstawić, poza zimnym piwem.

Heloise wzięła butelkę carlsberga z półki na drzwiach, otworzyła ją i wróciła do ogrodu. Postawiła piwo na stoliku przed Janem i usiadła na wiklinowym krześle obok niego.

Starszy pan skrzywił się nerwowo, ale nic nie powiedział.

– Janie, to ja. – Postukała palcami w stół, żeby przyciągnąć jego uwagę. – Heloise.

– Heloise – powtórzył cicho. Zaczął kiwać głową, najpierw powoli, potem szybciej, aż gumowa rurka aparatu tlenowego wysuwała się i wsuwała w jego nozdrze.

Odwrócił głowę i skupił na niej wzrok.

– Heloise? – powiedział zdziwiony, jakby nie widzieli się od bardzo dawna.

Uśmiechnęła się i przytaknęła skinieniem.

– Jak się dziś czujesz?

Jego twarz się zmarszczyła.

– Myślę i myślę... – wymamrotał i gestem ręki odgonił jej pytanie.

Heloise oparła łokieć o stół, a brodę wsparła na dłoni, cały czas bacznie mu się przyglądając.

– O czym tak myślisz? – spytała.

– O tym i owym, i o śmierci. O tym i owym, i o śmierci – odparł, jakby to była dziecięca wyliczanka, którą właśnie sobie przypomniął. Rytmicznie w kółko powtarzał sylaby. Wydatna szczęka stuknęła do taktu.

Heloise podsunęła mu bliżej butelkę.

– Trzymaj. Napij się. Dziś jest gorąco, trzeba się odpowiednio nawilżać.

Jan Fischhof wsadził palec do butelki i wyjął go szybko, czemu towarzyszył dźwięk jak przy odkorkowaniu wina. Zaraz jednak podniósł butelkę do ust i ostrożnie wypił mały łyk.

Wiklinowe oparcie zatrzeszczało, kiedy Heloise odchyliła się na krześle i rozejrzała. Po drugiej stronie białego ogrodzenia, które otaczało ogród, biegła kręta i wąska brukowana uliczka, Von Ostensgade, a pod ścianami stojących wzdłuż niej starych, krytych strzechą domów rosły lubiny i dzikie róże. Stara część miasteczka Dragør była tak sielankowa, że wyglądała niemal na przerysowaną i dla wielu jej mieszkańców stanowiła pępek świata.

Dla Jana Fischhofa była czymś więcej. Była miejscem, w którym postanowił umrzeć.

– Ruth powiedziała, że jesteś dziś smutny – zagaiła Heloise i popatrzyła na niego łagodnie. – Może jest coś, na co masz ochotę? Coś, co poprawi ci humor?

Spuścił wzrok, znowu podniósł butelkę i zawahał się na chwilę, gdy szyjka dotknęła ułożonych w dzióbek ust. Ostatecznie potrząsnął głową i się napił.

– Chcesz zagrać w karty? Twój lekarz mówi, że dobrze jest ćwiczyć głowę. – Oparła dłonie na podłokietnikach i wstała, żeby przynieść karty.

Jan popatrzył na Øresund. Przez chwilę milczał.

– Znałem kiedyś dziewczynę, która mieszkała za wodą – powiedział wreszcie. – Miała na imię Claudia.

Heloise się uśmiechnęła i ponownie usiadła.

– No, no. Zarywałeś do Szwedki?

– Nie. Mówię przecież, że była z Glücksburga. Niemka! – Wskazał ręką na cieśninę. – Pracowała tu kiedyś latem przy takim... bo ja wiem, chyba to był jakiś festiwal. Coś, co zorganizowali dla nas, kiedy pracowałem w Benniksgaardzie.



HISTORIE WARTE OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!